

cić uwagę czytelników, zwłaszcza tych poszukujących informacji na temat społeczeństwa, a przede wszystkim szkolnictwa polskiego w okresie II Rzeczypospolitej.

Magdalena Jakś-Kubiak

**Jean-Louis Margolin: Japonia 1937–1945. Wojna armii cesarza, przedmowa Yves Ternon, przeł. Joanna Paulina Rurarz i Agnieszka Rurarz. Warszawa: Wydawnictwo Akademickie „Dialog” 2009, ss. 528, mapy.**

To bardzo potrzebna książka, zwłaszcza wobec panującej w tej materii w Polsce (i nie tylko w Polsce) całkowitej posuchy. Jej tytuł jest, co prawda, mylący, co bez wątpienia obciąża wydawcę. Francuski oryginał syntezy Jean-Louis Margolina nosi bowiem tytuł *Armia Cesarza. Japońska przemoc i zbrodnie w wojnie 1937–1945* (*L'Armée de l'Empereur. Violences et crimes du Japon en guerre 1937–1945*), znacznie lepiej oddając zawartość owego pokaźnego woluminu. Nie chodzi tu bowiem ani o opis działań wojennych, ani o studium dotyczące japońskiej armii lądowej (nie mówiąc o flocie i lotnictwie). Poza wybranymi, specyficznymi aspektami sprawy nie dowiemy się również z tego dzieła zbyt wiele o położeniu społeczeństwa japońskiego w czasie wojny, przemysle, rolnictwie, stopie życiowej, wzroście cen, kulturze... Na temat tych ostatnich problemów napisano już jednak wiele, a niektóre z owych informacji udostępniono ostatnio także czytelnikowi polskiemu – choć, trzeba przyznać, raczej nie w postaci opracowań monograficznych, a odpowiednich rozdziałów w syntezach. (Wyjątkiem jest, koncentrująca się na opisach poszczególnych czynów, stara praca Edwarda Russella *Rycerze busido*). Jean-Louis Margolin, badacz znany u nas z współautorstwa monumentalnej *Czarnej księgi komunizmu*, ukazuje coś zupełnie innego, coś o czym pisze się w krajach zachodnich stanowczo zbyt rzadko – a mianowicie jaką to wojnę japońska Armia Cesarza prowadziła przez ponad osiem lat w Azji Wschodniej i na Pacyfiku.

Na wstępie warto stwierdzić, że zasługą francuskiego historyka (niezależnie od jego szczegółowych ustaleń) jest już samo poruszenie problemu i przypomnienie podstawowych faktów. Przeciwny bowiem mieszkaniec Zachodu (nawet interesujący się historią i mieszkający w kraju, który uczestniczył czynnie w walce z Japonią) ma na temat zagadnienia pojęcie całkowicie wypaczone. Zmagania koalicji z Japonią nazywa się zwykle (także w Polsce) „wojną na Pacyfiku”, utożsamiając ją z morsko-powietrznymi bataliami US Navy z Cesarską Flotą. W takiej optyce cierpienia ludności cywilnej (ograniczone zresztą do ostatniego roku walk, kiedy to stały się możliwe amerykańskie naloty na terytorium nieprzyjaciela) okazują się wyłącznie i jedynie cierpieniami Japończyków, a ich symbolem – zestawianym często, co znamienne, z Auschwitz – pozostaje Hiroshima. Mimo wyrazistości tej ostatniej nazwy „wojna na Pacyfiku” kojarzy się studiującym ją pasjonatom ze zmaganiem wyposażonych w nowoczesny sprzęt stosunkowo nielicznych oddziałów (innych nie pomieściłyby małe wysepki i pokłady okrętów wojennych), jakże innych od wielomilionowych armii operujących w Europie. Okrucieństwo wojny to ogień i zabójczy klimat, choć niektórzy słyszeli też o japońskim okrucieństwie wobec jeńców. Okupacja to okupacja Japonii. Tymczasem Margolin już na początku swego dzieła przypomina, że choć w owej wojnie decydujące operacje przeprowadzili rzeczywiście Amerykanie, więcej żołnierzy japońskich poznało pola bitewne w Chinach niż na Pacyfiku. W wojnie w Azji, trwającej dłużej niż w Europie (od lipca 1937 r. do września 1945), zapoczątkowana w Pearl Harbor „wojna anglosaska”, nie stanowiła nawet połowy zmagania. Pod okupacją japońską znalazło się 370–440 mln ludzi, podczas gdy pod niemiecko-włoską dwa razy mniej, bo jakieś 225 mln. Straty ludzkie w Azji wyniosły mniej więcej 27 mln, co jest porównywal-

ne ze stratami Europy (precyzyjnych danych, wobec niemożności oszacowania ofiar ZSRR i Chin, nigdy nie poznamy). Co najważniejsze jednak, w owej hekatombie obywatele Zachodu to najwyżej 1–2% ogólnej liczby ofiar, a ofiary japońskie (przede wszystkim żołnierze, w mniejszej części zabici w nalotach cywile) mniej więcej 1/8. Resztę stanowili zamordowani przez Armię Cesarską Azjaci, z których jedynie mniejsza część (jedna czwarta) nosiła mundury i jeszcze mniejsza – w przeciwieństwie do tych japońskich cywilów, którzy zginęli – padła w wyniku bezpośrednich działań wojennych, takich jak naloty czy ostrzał artyleryjski. Ogromna dysproporcja między stratami Japonii i jej przeciwników (3 mln i 24 mln), przewaga wśród tych ostatnich cywilów, zabitych już po przejściu frontu – wszystko to jasno sygnalizuje, jakiego rodzaju wojną była Wielka Wojna Azji Wschodniej (jap. *Dai Toa senso*).

Margolin oparł swą pracę na źródłach drukowanych i literaturze przedmiotu, literaturze przede wszystkim w języku angielskim. Jak się bowiem okazuje, język ten (w którym, nawiasem mówiąc, prowadzono obrady skrzykniętej przez Japończyków, gromadzącej marionetkowe reżimy Konferencji Azji Wschodniej w 1943 r.) jest nie tylko językiem podstawowych dokumentów. To także język prac w których badacze azjatyccy publikują swe główne przemyślenia, choć miejsca ich wydania (Singapur, Kuala Lumpur etc.) czynią z dotarcia do tychże prac zadanie niełatwe. Istnieją przy tym ustalenia sądzącego zbrodniarzy japońskich Międzynarodowego Trybunału Wojskowego dla Dalekiego Wschodu, instytucji rzetelnej (będzie jeszcze o tym mowa) – i w tym miejscu można postawić Margolinowi zarzut, że nie sięgnął do jego opublikowanych protokołów, a oparł się na ich omówieniu pióra Arnolda C. Brackmana. Tak czy inaczej, bibliografia (często w pracach autorów francuskich beztrząsco pomijana) jest solidna i robi wrażenie.

Błędów jako takich jest niewiele, a za rozmaite potknięcia winę ponosi często – jak się zdaje – polski wydawca. Zapewne na jego konto zapisać należy na przykład pojawienie się na s. 57 „Inoue Junnosuke” (zamiast poprawnej formy Yunnosuke). Nie jest jasne dlaczego nazwy oraz nazwiska japońskie i chińskie nie są odmieniane: na teź s. 57 terrorysta japoński chwali się, jak był dumny „zabijając Dan Takume” (dlaczego nie Dana Takumę?); na s. 202 niemiecki dyplomata „zdolał przemycić kapitana Huang Kuangan jako swego służącego” (dlaczego nie Huang Kuangana?); na s. 118 mamy „system wprowadzony w życie w Yan’an” (czemu nie „w Yan’anie?”). Jest więcej takich potknięć. W książce odnośnie do nazw chińskich stosowana jest powszechna dziś transkrypcja *pinyin*, ale występują też dziwaczne wyjątki. Najbardziej irytującą z nich jest występująca stale forma „Guomintang” na określenie Chińskiej Partii Narodowej; powinna brzmieć albo Kuomintang (w starej transkrypcji Wade’a i Gilesa) albo Guomindang. Zdumiewa również purystyczna co przestarzała forma „T’ai-pei” mające oznaczać siedzibę władz chińskich na Tajwanie; sensowne jest albo spolszczenie Tajpej, albo Taipei, ewentualnie (w *pinyinie*) Taibei. Błędna jest forma nazwiska „Wang Jing-wei” (s. 90) skoro w *pinyinie* nie występuje łącznik. Wielkorządca Chin Północnych Zhang Zuolin występuje w starej transkrypcji Wade’a i Gilesa jako Chang Tso-lin (s. 87; to już raczej na pewno decyzja francuskiego autora). Tegoż Zhanga w 1928 r. Japończycy namówili na wycofanie się do Mandżurii, a nie jak czytamy na teź stronie (być może dzięki tłumaczkom) z Mandżurii. Po stronach grasuje chochlik poprawiacza komputerowego: to on zapewne zrobił z nowogwinejskiego Port Moresby „Port Moresy” (s. 124), z japońskiego premiera Hiroty Koki dość dowcipnego „Sirote” (s. 222), a z nazwiska Tarling milutkie „Darling” (s. 92, 96). Na s. 49 występują „aliancy jeńcy wzięci do niewoli w Korei w 1942 r.”, choć ewidentnie chodzi o ludzi w 1942 r. w Korei tylko przetrzymywanych; tłumaczki (z których co najmniej jedna jest koreanistką) powinny wiedzieć, że przez całą wojnę Japończycy nie wzięli nikogo do niewoli na obszarze swej koreańskiej kolonii.

W świetle niedawno otwartych archiwów rosyjskich wątpliwa jest opinia Autora iż w starciach z Armią Kwantuńską w latach 1938–1939 „Rosjanie pozostawiali mistrzami wojny lądowej” (s. 91). Przeciwnie, mieli straty większe od przeciwnika, a w trakcie walk wyszła na jaw ich nieudolność.

Jeśli walki te przyniosły (a przyniosły) „tysiące ofiar” to na pewno nie były li tylko „potyczkami” (*ibidem*). Nie jest prawdą, że w 1945 r. w Mandżurii „rzesze Japończyków łatwo się poddały” (s. 168); poddano się, bo skapitulował rząd w Tokio. „Biały terror” kuomintangowski na Tajwanie pochłonął w 1947 r. nie „z pewnością 15 tysięcy ludzi” a mniej, około 8–10 tysięcy (zob. moją biografię Czang Kaj-szeka *Pod wiatr*, Kraków 2008, s. 566). Znany rzeźbiarz sławiący nazizm nazywał się nie Arno Broker lecz Breker (s. 470; być może winę ponosi francuska lub polska korekta).

Autor zastosował problemowy model wykładu, poświęcając kolejne rozdziały sytuacji wewnętrznej Japonii (w tym dywagacjom, czym był jej ustrój), okrucieństwom wobec azjatyckiej ludności cywilnej i internowanych cywilów rodem z Europy i Ameryki (w tym Żydów), pracy niewolniczej, losowi jeńców wojennych, wreszcie, jak to określił „meandrom japońskiej pamięci”. W osobnym rozdziale (jednym z pierwszych – słusznie) wyodrębnił kwestię „zbrodni przeciw pokojowi”, czyli winy za rozpętanie wojny.

Odnosnie do tej ostatniej kwestii Margolin – odnotujmy to z uznaniem – potrafił oprzeć się zarówno modzie na „poprawność polityczną”, jak i na antyamerykanizm szczególnie dziś popularny właśnie we Francji. Stwierdziwszy niewątpliwą winę i złą wolę armii japońskiej odnośnie do wydarzeń 1931 r. w Mandżurii, odnotował następnie (zgodnie z prawdą), że zdetonowany 7 lipca 1937 r. „incydent na moście Marco Polo [...] nadal pozostaje tajemnicą”, co jednak nie zmienia faktu, że Tokio wykorzystało go do rozpętania (uparcie mianowanej dalej „incydentem”) wojny. Na przekór nie tylko amerykańskim lewicowym i lewackim historykom zdejmując też całkowicie z Franklina Delano Roosevelta przypisywaną mu rzekomą odpowiedzialność za niepowodzenie negocjacji z Japonią z lata i jesieni 1941. Roosevelt, wykazuje, nie tylko nie podbechtywał przeciw Cesarstwu opinii publicznej swego kraju, ale wręcz próbował ją powstrzymywać. Na drogę konfrontacji weszli sami Japończycy, a prowadzone przez nich negocjacje od początku cechowała zła wola (s. 193–197 i 421). Osobliwy fakt, że Roosevelt, pupił amerykańskiej lewicy, atakowany jest dziś przez nią w jednej jedynej sprawie Pearl Harbor, wyjaśnia krótko i celnie: „dla tego nurtu opinii każdy amerykański prezydent z definicji jest niebezpiecznym watażką” (s. 96).

Nie ukrywając zbrodni, popełnionych niekiedy w wirze wojny przez stronę anglosaską (strzelanie do rozbitków japońskich w morzu, niebranie jeńców w sytuacji, gdy było to możliwe – czyny popełnione zwykle w zemście za wcześniejszą, makabryczną śmierć kolegów) Margolin sprzeciwia się stanowczo modnemu obecnie stawianiu znaku równości między postępowaniem aliantów i Armii Cesarzkiej, twierdzącemu, że jedni i drudzy prowadzili równie bezlitosną i równie rasistowską wojnę. (Klasyczną pozycją takiej literatury jest skądinąd wartościowa praca Johna W. Dowera, *War without Mercy. Race and Power in the Pacific*, New York 1986). Wskazuje, iż w armiach alianckich brutalności sprzeciwiali się zwierzchnicy. Fakt, że amerykańskim karykaturom Hitlera i Mussoliniego towarzyszył „stereotypowy rasowo, anonimowy Japończyk” wynikał nie z rasizmu, ale tego, że w Tokio brakło dyktatora mogącego personifikować reżim na miarę *führera* i *duce*. Skądinąd dyskusyjne moralnie internowanie po Pearl Harbor (w godziwych warunkach) amerykańskich Japończyków dotyczyło tylko zachodniego, pacyficznego wybrzeża, więc wynikało z lęku, a nie rasizmu. Wreszcie poniżające epitety i karykatury, określające japońskich przeciwników mianem „kundli” i „karłów” występowały (i występują nadal!) także w propagandzie chińskiej; można je potępiać, ale bez twierdzeń, że zrodził je rasizm (s. 183 i 470). Amerykańska (z niewielkim udziałem Wspólnoty Brytyjskiej) okupacja Japonii była czymś fundamentalnie innym od japońskiej okupacji Azji; poznawszy zwycięzców, pokonani uznali iż „skoro nasi przywódcy naopowiadali nam tyle kłamstw na temat Amerykanów, to pewnie było tak i w innych sprawach” (s. 414).

Autor nie potrafi do końca rozstrzygnąć, czy panujący w Cesarstwie system był autorytaryzmem czy totalitaryzmem. Padają oba określenia (np. s. 19, s. 112) a wydanie werdyktu jest niełatwe. Pojawiają się zestawienia z faszyzmem włoskim (skądinąd jakże – nie licząc tzw. Republiki Salò – niekrwawym; s. 496), ale i maoistowskimi Chinami (s. 118); przypomina się że miały miej-

sce – nawet w dobie wojny – wybory do parlamentu (s. 112), ale z drugiej strony stopień „prania mózgów”, inwigilacji i zniweczenia jakiegokolwiek sprzeciwu był znacznie większy niż np. w Rzeszy Niemieckiej Hitlera (s. 112). Problem ów, który dręczy badaczy od lat, nie jest rozwiązany, a mechaniczne zestawienia z dyktaturami Zachodu wieść mogą raczej na manowce.

Opis postępowania Armii Cesarskiej na obszarach okupowanych to lista przyprawiających o zawrót głowy okrucieństw, przy których – jak czytamy – zawodzi kryterium rozsądku (często najbardziej szokujące i niesamowite relacje, jak te o ludożerstwie, okazywały się prawdziwe). Margolin, chyba umyślnie prowokując przywykłego do „politycznej poprawności” czytelnika, wskazuje, że Hiroshima „uratowała dziesiątki tysięcy istnień ludzkich w samym tylko Singapurze” (s. 378, por. też 283), przypominając też, że 54% żołnierzy amerykańskich (i, dodajmy, większość jeńców wojennych) zginęło w ostatnim roku wojny. Niewielkie tylko przeciągnięcie tej ostatniej oznaczałoby katastrofalne spotęgowanie krwawego żniwa. Jednocześnie jednak – będąc wyjątkiem w znanej literaturze przedmiotu – podważa usilnie dziś lansowany martyrologiczny mit kobiet werbowanych masowo do japońskich wojennych domów publicznych jako tzw. „pocieszycielki”. Ich los kwalifikowany jest jako „praca przymusowa”, a nie odmienne jakościowo „seksualne niewolnictwo”. Margolin wskazuje, że znaczna (może większa) część owych kobiet otrzymywała wynagrodzenie, śmiertelność wśród nich była stosunkowo niska, a wiele z nich wybrało swój los mniej lub bardziej dobrowolnie (s. 380 i n.). Z uwagi na przewagę wśród „pocieszycielek” mieszkanki Korei, kraju, który nie doznał w czasie wojny szczególnych strat, miał natomiast swój udział w japońskich zbrodniach (wielu oprawców w obozach było Koreańczykami), pada też argument, że rozgłos wokół owej kategorii ofiar zagłuszyć ma nieczyste sumienie władz w Pienianie i Seulu oraz podbudować postawy roszczeniowe (s. 458). Zapewne. Śledzącemu argumentację Autora czytelnikowi ująć może wszelako fakt – skądinąd nadmieniany (por. s. 382) – że los Chinek i mieszkanki Azji południowo-wschodniej był już inny, zdecydowanie właśnie niewolniczy, a przede wszystkim to, że seksualna przemoc *à la japonaise* to w pierwszym rzędzie gwałty zwieńczone zabójstwami, a nie „zwyczajna” rekrutacja do domów publicznych.

Odnosnie do potwornego losu jeńców wojennych, będącego może relatywnie najlepiej znanym aspektem „wojny armii cesarza”, warta zapamiętania jest uwaga Autora, że poddający się żołnierze Zachodu i tak znajdowali się w uprzywilejowanej pozycji. Choć bici i maltretowani, byli bowiem właśnie brani do niewoli, podczas gdy ich kolegów Azjatów zabijano na miejscu (s. 291). Natomiast do odnośnie internowanych cywilów – obywateli państw nieprzyjacielskich i neutralnych (traktowano ich równie koszmarnie) – Margolin przypomina ciągle jeszcze słabo znaną prawdę, że władze japońskie nie podjęły żadnych szczególnych działań przeciw Żydom, z których wielu zbiegło przed prześladowaniami właśnie do Azji wschodniej. Obiektywnie fakt ten działał naturalnie na korzyść Żydów, których wydania w ręce niemieckie zwyczajnie odmówiono (s. 348). Znany dziś jako „sprawiedliwy wśród narodów świata” konsul japoński w Kownie, Sugihara Chiune nigdy też, wbrew rozmaitym legendom, nie został ukarany przez zwierzchników za swą humanitarną działalność (s. 346). Jeśli jednak Żydzi „tylko” i „jedynie” dzielili los innych internowanych, to ów wspólny los był taki, że – jak napisała holenderska Żydówka, Lydia Chagoll – „gdyby potrwało to wszystko kilka miesięcy dłużej zginęlibyśmy wszyscy i nikt by o tym nie wiedział” (s. 350).

Szczególny charakter ma rozdział 5. o rzezi w Nankinie, nie tylko dlatego, że dotyczy pojedynczej zbrodni. Jest zdecydowanym atakiem na znaną pracę zmarłej tragicznie w 2004 r. Iris Chang *The Rape of Nanking* (I wyd. 1997). Autor oskarża ją o brak profesjonalizmu, antyjapońskie uprzedzenia i naginanie faktów (jeśli nie coś więcej) do koncepcji o rzezi kosztującej życie setki tysięcy ofiar. Według Margolina, w Nankinie zginęło 50–90 tysięcy ludzi, z czego zdecydowaną większość stanowili wymordowani jeńcy chińscy; „nie doszło ani do ludobójczej rzezi, ani do mordowania na ślepo chińskich mieszkańców” (s. 218). Główny argument jest natury, jak czytamy, „zdroworozsądkowej”. Mianowicie skoro Nankin liczył przed wojną 600 tys. mieszkańców, to, uwzględniając

poświadczoną ucieczkę kilkuset tysięcy z nich, w mieście mogło pozostać najwyżej 200–250 tys. ludzi – a w takim razie chińska stolica nie mogła stracić mniej więcej takiej liczby w czasie rzezi i pozostać zamieszkaną (s. 194). Problem polega wszakże na tym, że Chińczycy uciekali nie tylko z Nankinu, ale i do Nankinu, tym bardziej iż rząd zapewniał, iż miasto będzie bronione; uważano je więc za dość niezawodne refugium. Po drugie, Margolin powiada, że buddyjska instytucja charytatywna, Czerwona Swastyka, pochowała nieco ponad 41 tysięcy osób i tę liczbę (powiększoną o rozstrzelanych jeńców) przyjmuje za podstawę obliczeń. Wszelako wedle Chang (s. 101 pierwszego wydania jej pracy) ogólna liczba wszystkich osób pogrzebanych przez wszystkie organizacje charytatywne (nie tylko przez Czerwoną Swastykę) wynosi nie 41 tysięcy, a „co najmniej 185 tysięcy ciał”, do czego dochodzą jeszcze ludzie, którym ostatnią posługę oddały rodziny. Ponieważ Chang po chińsku czytała, a Margolin nie, sprawa wymaga co najmniej jeszcze dalszych badań; na razie „minimaliści” (w tym i Jean-Louis Margolin) znajdują się w mniejszości.

Autor całkowicie rehabilituje aliancki trybunał wojskowy w Tokio (dodajmy od siebie – dużo obiektywniejszy niż jego odpowiednik w Norymberdze) oraz pomniejsze, wyrokujące w jego cieniu sądy, rozbijając w puch coraz głośniejsze i skandaliczne, a wcale nie dobiegające tylko z Japonii opinie o „zemście zwycięzców”. Przypomina, że przynajmniej dwóch sędziów (Holender i Hindus) sympatyzowało z oskarżonymi (sic!), że – mimo Pearl Harbor – nie skazano na śmierć żadnego admirała, a skazani na szafot generałowie działali w Chinach (co kompromituje kolejną dość bezczelną bajkę, iż trybunał interesowały tylko zbrodnie na ludziach rasy białej; warto dodać, że w pomniejszych procesach prowadzonych przez Brytyjczyków rozpatrywano niemal wyłącznie zbrodnie na Azjatach). Uniewinnień było sporo. Sędziowie Republiki Chińskiej Czang Kaj-szeka, uważanej powszechnie za reżim bezlitosny, wydali je w 40% spraw (s. 424). Fakt, że w owych sprawach „amerykańska «antyimperialistyczna» lewica w zasadniczych kwestiach zgadza się z pravicowymi rewizjonistami japońskimi” (s. 418) uznać należy wszelako za znamienny, podobnie jak to, że tylko garstka japońskich oskarżonych (w procesie tokijskim – trzech) wyraziła coś na kształt skruchy.

Końcowe rozdziały, poświęcone – jak już wspomniano – recepcji lat wojny we współczesnej Japonii nasuwają pewne wątpliwości. Generalnie, Autor uważa, że oskarżenia japońskiej historiografii o hołdowanie negacjonizmowi czy rewizjonizmowi za wielce krzywdzące (wskazując np. jak znaczną rolę na uniwersytetach odgrywał marksizm), a twierdzenia, że prądy te kształtują japońską pamięć, za przesadne. Jeśli nawet jednak tylko nieduża mniejszość japońskich podreżników szkolnych zawiera skandaliczne treści, to pozostaje faktem że w Niemczech – naturalnym dla mieszkańca Zachodu kraju odniesienia – prace takie w ogóle nie mogłyby zostać opublikowane. W dodatku argument o marksistowskich obrońcach prawdy, w rodzaju skądinąd wybitnego profesora Ienagi Saburo, jest nader wątpliwy – jeśli Ienaga pisał, że Czerwona Armia Mao zwyciężyła Armię Cesarską dzięki swej „demokratycznej władzy”, to mylił się (by nie użyć mocniejszego słowa), i to podwójnie. Po pierwsze bowiem chińskie armie komunistyczne były bardziej, nie mniej totalitarne od wojska japońskiego, po drugie zaś, były bite przez Japończyków właściwie przez całą wojnę. Prawdziwe w sensie dosłownym twierdzenie, iż w Japonii „w przeciwieństwie do Chin dyskusja nad Nankinem od dawna toczy się żywo i swobodnie” (s. 221) dezinformuje, bowiem w ChRL panuje dyktatura i cenzura, a w Japonii nie; „swobodna dyskusja” oznacza więc swobodę kwestionowania rzeczy, które kwestionowane być nie powinny. Jeszcze gorsze od negacjonizmu *sensu stricto* – co już Autor przyznaje – jest wszakże powszechne samopostreganie Japończyków jako narodu ofiar, a nie sprawców II wojny światowej. Potężnie sprzyja temu nader szczególnie traktowana pamięć o Hiroshimie i Nagasaki. Podkreślić trzeba, że tego rodzaju tendencje liczyć mogą na walne wsparcie ze strony lewicowych i antyamerykańskich kół na Zachodzie.

Dla polskiego czytelnika, dość przerażającej w swej wymowie książki Margolina, zaskakujący być musi werdykt jej Autora, iż władze japońskie, mimo splamienia się wszystkimi niemal moż-

liwymi zbrodniami, nie popełniły jednak ludobójstwa. Przyczyną jest przyjmowanie przez historyków francuskich niezmiernie wąskiej definicji tego ostatniego terminu, ograniczonej wyłącznie do prób zniszczenia grup narodowych i etnicznych (pisałem o tym w recenzji z pracy Joela Koteka i Pierre'a Rigoulota, *Le siècle des camps* w „Studiach Historycznych” 2001, z. 3). W tej sytuacji ani zbrodnie japońskie, ani żadna ze zbrodni komunistycznych (nawet wyczyny reżimu Czerwonych Khmerów w Kambodży) *ex definitione* nie mogą być ludobójstwem; są nim natomiast – acz cechujące się znacznie mniejszą liczbą ofiar – niezbyt dawne wydarzenia w Ruandzie. Argumentacja taka jest wszakże co najmniej kontrowersyjna i wymaga dalszej dyskusji.

Reasumując: syntetyzująca, świetnie napisana i przekonująca (mimo rozmaitych kontrowersyjnych twierdzeń) praca Jean-Louisa Margolina jest lekturą obowiązkową dla wszystkich zajmujących się II wojną światową w Azji. W Polsce konkurencji właściwie nie posiada, a każdy kto u nas podejmie ową ponurą problematykę, będzie się musiał odnieść do jej ustaleń.

*Jakub Polit*